

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (5)

(FRAGMENTY)



### Jak powstają anegdoty?

Sam bohater anegdoty Adaś Ziemianin dziś nie bardzo przypomina sobie owo nocne *tete-a-tete* z Wysogładem przed historycznymi wierzeniami krakowskiego Biura Wystaw Artystycznych, choć nie wyklucza, że istotnie do niego doszło.

– Ważne, że anegdota ci się podoba – puentuje rzecz pojednawczo, śmiejąc się jak to on dobroduszenie.

Ma rację, anegdot nie należy broń Boże przypasowywać do rzeczywistych zdarzeń, co uczynił parę lat temu po powrocie do kraju Sławomir Mrożek, słynący z pedantycznej rzeczowości. Sprostował on pewną krążącą o nim od lat anegdotę, czym odebrał jej cały smaczek. Zgodnie z ową anegdotą, nasz eksportowy dramaturg w czasach swojej literackiej młodości – na spotkaniu autorskim Dürrenmatta w Krakowie – naciskany przez prowadzącego wieczór, by również zabrał głos w dyskusji, miał wstać i zapytać: „Co słyhać, panie Dürrenmatt?”.

Po sali przeszedł śmiech, zakłócając polonistyczną dysputę na temat formy i warsztatu mistrza.

Tymczasem w rzeczywistości – sprostował po latach Mrożek – było o wiele dyskretniej. To nie prowadzący, lecz reżyser Jerzy Jarocki, siedzący na krześle obok, zapytał go szeptem: „A ty o co byś zapytał?”. „Co słyhać, panie Dürrenmatt? – odpowiedział również na ucho autor *Tanga*.

Wirująca płyta Rynku w Krakowie. Tu wciąż coś się dzieje. Krakowiaki na koniach, sezonowy pajac wypuszczający ogień z pięty, lawina gołębi poryjająca dziecko, zaczarowany dorożkarz i zaczarowany koń, stepujący tancerz, kłozardzi, którzy bez żenady proszą o 50 groszy na piwo, Biała Dama owinięta w prześcieradło przed kościołem Mariackim, co naśladuje jak małpa – ku ucieście gawiedzi – chód i gesty przechodniów. Setki, tysiące gapiów. Najpiękniejszy teatr pod gołym niebem.

Antyklerykalna wariatka, śmiejąc się pod nosem, maszeruje i wykrzykuje coraz to nowe slogany. „Miałeś, chamiu, Kościół katolicki, złoty róg, odebrał Ci go Bóg i będziesz miał g...” – to łagodniejsze inwektywy. Wariatka robi codzienny obchód, wykrzykując swoje prawdy jak przez megafon. Nikt jej nie zaczepia, nie strzela w nią żaden piorun z jasnego krakowskiego nieba.

Niektórzy się dyskretnie rozstępują i niedowierząco uśmiechają, inni przystają z otwartymi gębami. Jeśli ktoś opowiada o fanatycznych fundamentalistach katolickich – niech przyjdzie i zobaczy. Chora kobieta robi parogodzinny obchód głównymi ulicami Krakowa, wykrzykując dość plugawe oskarżenia pod adresem kardynała, księży i Kościoła, i wszyscy przechodzą obok niej potulnie jak owieczki albo udają, że nie słyszą.

Krakowski teatr pod gołym niebem...

### Czarodzieje słowa i „szmirusy”

Nie zawsze w moim życiu było kolorowo i „nieważko”. Poza paroletnim okresem „balansowania” na rozrywkowej linii – stałem jednak dość mocno nogami na ziemi i moje życie wypełnione było pisaniem i codziennymi zajęciami domowymi, bo przecież rosły mi na oczach córki: Aśka i Ewa, a po moim bardzo rodzinnym ojcu odziedziczyłem chyba jakieś geny opiekuńczości, tak że moje dorosłe dziś już córki nie mają podstaw, by powiedzieć, że je zaniedbywałem. Jakkolwiek – nie będę krył – to pracowita żona brała na barki większość prozaicznych obowiązków.

Poza tym, mimo iż dawałem się od czasu do czasu uwodzić kompanii, w głębi duszy pozostałem trzeźwym obserwatorem i krytykiem knajpianej przybyszewszczyzny. Mogłem sobie pozwolić raz czy dwa razy w tygodniu na wyskok, ale coraz mocniej odczuwałem czczość pijackiego obfitego gadania i coraz częściej nachodziły mnie refleksje, że to wcale nie ci, którzy wodzą rej przy stole biesiadnym, są prawdziwymi artystami; ba, że większość z nich to po prostu szarlatani, hochsztaplerzy, „gadacze po próżnicy” – jak by ich nazwała moja mama, dodając: „gadkę się gada, a chleb się je”...

Tak. Gadkę się gada, a chleb się je.

Pewien znakomity krytyk zwykł mawiać, że przy stole biesiadnym trudno odróżnić prawdziwego artystę od „szmirusa”. Hochsztaplerzy nawet lepiej się prezentują: ładniej mówią, zamaszycieście gestykulują, ba, wyglądają na ciekawszych i „prawdziwszych” od – najczęściej skupionych na sobie, nieefektywnych na pokaz, prawdziwych artystów...

„Życie pierwszego lepszego przechodnia jest ciekawsze od losów artysty, usuniętego w cień przez jego własną sztukę” – pisał trafnie Mieczysław Jastrun. – Wielu z nas jednak, zamiast poznać do głębi czyjeś dzieło, bada życiorysy, jak gdyby mogły być one bogatsze od dzieł artystów. Tymczasem bogatsi od swojego dzieła bywają jedynie ci, którzy pozują na artystów...

Sławomir Mrożek w felietonie *Zazdrość artysty* opowiada zabawną historię z krakowskiej przeszłości. Otóż pod koniec lat 50., gdy był już sławny (i mieszkał nadal w ciasnym pokoiku na Krupniczej), dowiedział się, że po kraju grasuje osobnik, który podaje się za Mrożka, uwodząc panienki i spijając słodki nektar „przekrojowej” popularności Sławomira – pełnymi kieliszkami stawianymi mu przez wielbicieli talentu; słowem – konsumując jego sławę. „To ja siedzę w tym pokoiku trzy na cztery, męczę się, żeby coś wyprodukować, a on mój trąd zamienia na *dolce vita*. W skrytości ducha chciałem takjak on, zazdrościłem mu” – przyznaje znakomity dramaturg, lecz poprawia się po chwili: „Domyślałem się już wtedy mętnie, a po latach wiem na pewno, że artysta nic nie ma i nic nie może mieć ze swojej sztuki. Nic w kategoriach uciech i światowych satysfakcji jako głównej rekompensaty. Nawet jeśli jego sztuka przynosi mu sławę i pieniądze”.

Zdarzali się w dziejach literatury pisarze na

pokaz, fałszywi magowie, ot, choćby Stanisław Przybyszewski, którego czar towarzyski zniewolił przez jakiś czas nawet trzeźwego Boya-Zełęńskiego. Wypisywał peany na jego temat, zamykając z początku oczy na szmirowatość literacką. Po Przybyszewskim została dzięki Boyowi legenda. Utwory „smutnego szatana” przyprawione gęstym młodopolskim sosem mogą być dziś tylko przykładem najczystszej grafomanii, choć kiedyś były przez jego „dzieci” wynoszone pod niebiosa.

Ja sam znam kilku co najmniej fałszywych magów: pozerów, tupeciarzy, ewidentnych hochsztaplerów, którzy znakomicie sobie radzą, „robiąc za poetów”, ba, sprawiając wrażenie, że są nie tylko więksi od siebie, ale w ogóle najwięksi. Jeden z nich, mieszkający we Wrocławiu (skądinąd bardzo go lubię), ma czar nie mniejszy od Przybyszewskiego. Jest zapraszany na różne imprezy, bo świetnie gra na organkach, bawi towarzystwo, recytuje jedne i te same wiersze, napisane jeszcze w latach 70. i jest uroczym kompanem. Aparycja, broda, teatralny głos – wypisz, wymaluj prawdziwego poeta. Ostatnio uwiódł swoim czarem pewnego biznesmena, wytwórcę wódek, który wyprodukował „Wódkę Poetów i Szwoleżerów” nazywającą się tak jak mój znajomy. Na reklamówkach wódki jest imponująca podobizna Mistrza z siwą brodą i wiersz: „Po co te słówka/ po co te gesty/ Chcesz być szczęśliwy/ spróbuj...” (tu następuje nazwisko rymotwórcy). Poszło na razie 20 tys. egzemplarzy (butelek), co prawie dziesięciokrotnie przewyższa wszystkie jego nakłady książkowe (wydał w sumie 2 cieniutkie zbiorki) i dało już niezłe tantiemy.

Inny mag literatury z tego samego miasta, znany z przebojowości, był już wszędzie: w Izraelu, w Watykanie, w całej Polsce, założył parę rodzin, wślizgnął się do któregoś z biur przy prezydencie. Śmiesz, tumani, przestrasza – z dużym powodzeniem zresztą. Wiersze pisze bardzo średnie, ale nadrabia wsządobyłstwem.

Osobna kategoria fałszywych pisarzy to znakomicie funkcjonujący w Peerelu dygnitarze literatury, których zadaniem było sprawianie dobrego wrażenia. Krasomówcy, uczestnicy biesiad, delegaci na zjazdy i festiwalu, przedstawiciele związku, przemawiacze, redaktorzy naczelni pism literackich, prezosi stowarzyszeń. Mieli swoje przekłady w demoludach, decydowali, wpływali, czuli się jak ryba w wodzie. Literatura była dla nich tylko dodatkiem, pretekstem. Bo ich pryncypium to znalezienie się przy stole pańskim, wejście w układy, przypoehlenie się władzy. Żyli i nadal żyją lepiej od prawdziwych poetów, którzy kiepsko przemawiali, źle się prezentowali, rzeczywistości nie lakierowali, żadnym dyscyplinom partyjnym się nie podporządkowali, ba, nie znali się na polityce, a w dodatku nie byli ozdobą salonów.

Istnieje wreszcie u nas typ utytułowanego literata – znakomitego teoretyka i kiepskiego praktyka, za to uczenie komentującego swoje utwory. Kto naiwny, temu łatwo zamydląc oczy. Snobistyczna publiczność daje się niekiedy omanić sprawnemu marketingowi, reklamie. Talent poetycki jest jak wiadomo trudny do zmierzenia i zważenia. Poeci i krytycy w jednej osobie, robią wszystko, żeby zasugerować, że problematyka ich utworów jest otchłanna, a między metaforami kryją się Bóg wie jak odkrywczcze treści. Takim poetą-krytykiem był w okresie międzywojennym Tadeusz Peiper, z którego nie zostało w poezji nic, choć dzięki swojej nadaktywności teoretyka sztuki nowoczesnej trafił do podręczników jako „papier awangardy”.

cdn.